

# Facino Cane



HONORÉ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

## Facino Cane

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Mieszkałem wówczas przy małej ulicy, której z pewnością nie znacie, przy ulicy de Lesdiguières: zaczyna się przy ulicy św. Antoniego na wprost studni, w pobliżu placu Bastylli<sup>1</sup>, a wychodzi na ulicę de la Cerisaie. Żądza wiedzy wtrąciła mnie na poddasze, gdzie pracowałem w nocy, dzień zaś spędzałem w sąsiedniej bibliotece. Żyłem oszczędnie, przyjąłem tryb klasztorny, jedyny dla ludzi pracy. Kiedy było ładnie, przechadzałem się trochę po bulwarze Bourdon. Jedna jedyna namiętność odrywała mnie od moich studiów; czyż i to nie było również studium? — chodziłem obserwować obyczaje przedmieścia, jego mieszkańców i ich charaktery. Równie nędznie odziany jak robotnicy, obojętny na formy, nie budziłem ich nieufności. Mogłem się swobodnie mieszać w ich gromadki, patrzeć, jak dobijają targów i jak się kłócą z chwilą ukończenia pracy. Obserwacja stała się u mnie już intuicyjna, wnikała w duszę, nie zaniedbując ciała; lub raczej tak dobrze chwytła szczegóły zewnętrzne, że szła natychmiast poza nie; dawała mi zdolność życia życiem osobnika, który był jej przedmiotem, pozwalając mi wcielić się weń, jak derwisz<sup>2</sup> z *Tysiąca i jednej Nocy* przybiera ciało i duszę osób, nad którymi wymówi zaklęcie.

Kiedy między jedenastą a dwunastą w nocy spotkałem robotnika i jego żonę wracających z Ambigu-Comique<sup>3</sup>, bawiło mnie iść za nimi od bulwaru Pont-aux-choux aż do bulwaru Beaumarchais. Pocziwi ludzie, pogadawszy najpierw o sztuce, którą oglądali, przechodzili od słowa do słowa do swoich spraw; matka ciągnęła dziecko za rękę, nie słuchając ani jego skarg, ani pytań; małżonkowie liczyli pieniądze, które mieli otrzymać jutro, wydawali je na dwadzieścia sposobów. Zaczynały się szczegóły gospodarskie, utyskiwania<sup>4</sup> na drożyznę kartofli albo na długą zimę i podrożenie torfu, drobiazgowo obliczanie rachunku piekarza, wreszcie sprzeczki, które stawały się coraz ostrzejsze i w których każde z małżonków zdradzało swoją naturę charakterystycznymi zwrotami. Słuchając tych ludzi, mogłem wcielić się w ich życie, czułem ich łachy na grzbiecie, szedłem z nogami w ich dziurawych butach: ich pragnienia, ich potrzeby, wszystko przechodziło w moją duszę lub też moja dusza przechodziła w nich. Był to niby sen na jawie. Oburzałem się wraz z nimi na pracodawców, którzy ich tyranizowali, lub na złych klientów, którzy kazali im chodzić po kilka razy daremnie po zapłatę. Porzucać swoje nawyki, stawać się innym człowiekiem przez napięcie władz duszy, uprawiać tę grę wedle ochoty, to była moja rozrywka. Czemu zawdzięczam ten dar? Czy to jasnovidzenie? Czy to jedna z owych własności, których nadużywanie wiodłoby do szaleństwa? Nigdy nie dochodziłem źródeł tej władzy: posiadam ją i posługuję się nią, oto wszystko. Wiedźcie tylko, że od owego czasu rozłożyłem składniki różnorodnej masy zwanej ludem, że zanalizowałem ją tak, iż mogłem ocenić jej przymioty i wady. Wiedziałem już, na co mogłoby się zdać to przedmieście, to seminarium rewolucji, które mieści bohaterów, wynalazców, mędrców, lajdaków, zbrodniarzy, cnoty i przywary, wszystko zduszone nędzą, zdławione potrzebą, utopione w winie, strawione wódką. Nie zdołałibyscie sobie wyobrazić, ile nieznanych

<sup>1</sup>plac Bastylli — plac we wsch. części Paryża, gdzie dawniej stała twierdza Bastylia, zdobyta i zburzona na początku rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>derwisz — pobożny wędrowny mnich muzułmański. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Ambigu-Comique — właśc. *Tbéâtre de l'Ambigu-Comique*, teatr paryski przy bulwarze du Temple, zał. 1769, zniszczony w pożarze w 1827, odbudowany przy pobliskim bulwarze Saint-Martin. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>utyskiwanie — narzekanie. [przypis edytorski]

przygód, ile zapomnianych dramatów w tym mieście boleści! ile okropnych i pięknych rzeczy! Wyobraźnia nigdy nie dorówna prawdzie, która się tam chowa i której nikt nie może odkryć; trzeba zejść zbyt nisko, aby oglądać te cudowne sceny, tragiczne lub komiczne, arcydzieła zrodzone przez przypadek. Nie wiem, jakim cudem zamilczałem tak długo historię, którą wam opowiem; stanowi ona jedną z owych ciekawych powiastek pozostałych w worku, z którego pamięć wyciąga ją kapryśnie niby numery loterii. Mam wiele innych, równie osobliwych jak ta i równie zagrzebanych; ale przyjdzie na nie kolej, zaręczam.

Jednego dnia moja posługaczka, żona robotnika, przyszła mnie prosić, abym zaszczylił swoją obecnością wesele jej siostry. Aby wam uzmysłować, czym mogło być to wesele, muszę powiedzieć, że płaciłem dwa franki miesięcznie tej biednej istocie, która przychodziła co rano posłać mi łóżko, oczyścić ubranie, trzewiki, zamieść pokój i przyrządzić śniadanie: resztę dnia kręciła korbą przy jakiejś maszynie i zarabiała tym ciężkim rzemiosłem pół franka dziennie. Mąż jej, stolarz, zarabiał cztery franki. Że jednak to małżeństwo miało czworo dzieci, zaledwie starczyło im na kawał chleba. Nie zdarzyło mi się spotkać rzetelniejszych ludzi niż ten człowiek i jego żona. Kiedy opuściłem tę dzielnicę, pięć lat pani Vaillant przychodziła wieszować mi imienin, przynosząc bukiet i pomarańcze, ona, która nie miała grosza oszczędności. Nędza zbliżyła nas. Nigdy nie mogłem jej dać więcej niż dziesięć franków, które często musiałem pożyczać w tym celu. To może wytłumaczyć moją obietnicę przybycia na wesele; spodziewałem się wykapać w radości tych biednych ludzi.

Uczta, bal, wszystko to odbywało się u winiarza przy ulicy de Charenton, na pierwszym piętrze, w wielkim pokoju oświetlonym lampami z cynowymi reflektorami, obitym zabrudzoną tapetą do wysokości stołów. Pod ścianą znajdowały się drewniane ławki. W tym pokoju osiemdziesiąt osób odświętnie wystrojonych, z bukietami i wstążkami, z rozplamionymi twarzami, tańczyło tak, jakby miał być koniec świata. Nowożeńcy ściskali się ku powszechnemu zadowoleniu, rozlegały się „he-he! ha-ha!” jowialne<sup>5</sup>, ale doprawdy mniej nieskromne niż nieśmiałe oczkowania<sup>6</sup> dobrze wychowanych panien. Ze wszystkich parowała jakaś gruba<sup>7</sup> radość, która miała coś dziwnie udzielającego się.

Ale ani fizjonomia<sup>8</sup> gości, ani wesele, ani nic z tego świata nie ma związku z moją historią. Zapamiętajcie jedynie osobliwość ramy. Wyobraźcie sobie plugawy sklep pomalowany czerwono, poczujcie zapach wina, usłyszcie wycia tej radości, wrośnijcie dobrze w to przedmieście, w ciżbę tych robotników, starców i tych biednych kobiet oddających się rozkoszy jednej nocy!

Orkiestra składała się z trzech ślepców z Instytutu Ociemniałych: skrzypce, klarnet i flet. Wszystkich trzech zgodzono ryczałtem, siedem franków za noc. Za tę cenę, rzecz prosta, nie mogli dać ani Rossiniego, ani Beethovena; grali, co chcieli i co mogli, nikt nie robił im wymówek; uroczą delikatność! Muzyka ich uderzała tak brutalnie w bębenki, że objąwszy wzrokiem zgromadzenie, popatrzyłem na to trio ślepców i od razu, widząc ich uniform, uczułem się skłonny do pobaźliwości. Artyści ci usadowili się we framudze; trzeba było podejść blisko nich, aby rozróżnić ich fizjonomie. Nie dotarłem tam od razu; ale kiedy się zbliżyłem, nie wiem czemu, wszystko się skończyło; wesele i muzyka znikły, ciekawość moja doszła do najwyższego napięcia, dusza moja bowiem przeszła w ciało klarncisty. Skrzypek i flecista mieli twarze pospolite, ot typowa fizjonomia ślepców, pełna skupienia, uważna i poważna; ale twarz klarncisty była jednym z tych zjawisk, które przykuwają artystę i filozofa.

Wyobraźcie sobie gipsową maskę Danta, oświetloną blaskiem kinkietu<sup>9</sup> i uwieńczoną lasem srebrno-białych włosów. Gorzki i bolesny wyraz tej wspaniałej głowy spotęgowany był ślepotą, martwe oczy odżywały myślą, strzelał z nich jakiś palący blask, zrodzony z jednego nieustannego pragnienia, energicznie wypisanego na sklepionym czole, pooranym zmarszczkami podobnymi do pęknięć starego muru. Ten starzec dmuchał na ślepo,

Wesele

Kaleka

<sup>5</sup>jowialny — świadczący o pogodnym usposobieniu i rubasznym poczuciu humoru. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>oczkozowanie (daw. pot.) — kokieteryjne zerkanie na kogoś. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>gruby — tu: prosty, prymitywny, pozbawiony wyrafinowania. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>kinkiet — przyścienny świecznik lub lampa, przeważnie z metalu, zwykle ma mocowaną bezpośrednio do ściany tarczę. [przypis edytorski]

nie zwracając żadnej uwagi na takt ani na melodię; palce jego podnosiły się i opuszczały, poruszały machinalnie stare klawisze. Nie żałował sobie *kiksów*<sup>10</sup>; tancerze nie zważali na to, tak samo jak dwaj towarzysze mego Włocha; uparłem się bowiem, aby to był Włoch, i był Włoch. Coś wielkiego i despotycznego widniało w tym starym Homerze, który krył w sobie jakąś skazaną na zapomnienie *Odyseję*. Była w nim wielkość tak rzeczywista, że górowała nad jego upodleniem; siła ducha tak żywa, że górowała nad ubóstwem. Żadnej z potężnych namiętności, które wiodą człowieka do dobrego jak do złego, które zeń czynią zbrodniarza albo bohatera, nie brakowało tej szlachetnie rzeźbionej twarzy, bladej jak bywa u Włochów, ze szpakowatymi brwiami. Brwi te rzuciły cień na głębokie bruzdy; budziły lęk, że się ujrzy w nich blask myśli, tak jak człowiek się obawia, aby w otworze grotty nie pojawiło się paru zbójców zbrojnych w pochodnie i sztylety. Był lew w tej klatce z ciała, lew, którego wściekłość zużyła się daremnie na żelaznych kratkach. Pożar rozpacz zgasł w swoich popiołach, lawa ostygła, ale bruzdy, wstrząśnienia, resztki dymu świadczyły o gwałtowności wybuchu, o spustoszeniach ognia. Myśli te, obudzone na widok tego człowieka, były równie gorące w mojej duszy, jak były zimne na jego twarzy.

Między każdym kontredansem<sup>11</sup> skrzypek i flet, poważnie zajęci szklanką i butelką, zawieszali instrument na guziku zrudziałego surduta, sięgali ręką do małego stoliczka pomieszczonego pod oknem, gdzie znajdowała się ich kantyna<sup>12</sup>, i ofiarowywali Włochowi pełną szklankę, której nie mógł wziąć sam, stół bowiem znajdował się za jego krzesłem. Za każdym razem klarncista dziękował im przyjaznym skinieniem. Ruchy ich miały tę precyzję, która zawsze zdumiewa u ślepców, dając złudzenie, że widzą. Zbliżyłem się, aby się im przysłuchać: ale kiedy byłem blisko, zauważyli mnie, nie uczuli zapewne we mnie robotnika i zamilkli.

— Skąd wy jesteście, wy, co gracie na klarncie?

— Z Wenecji — odparł ślepy z lekkim akcentem włoskim.

— Czyście się urodzili ślepi, czy też oślepliście z...

— Z przypadku — odparł żywo — przekłeta jaskra.

— Wenecja to piękne miasto, zawsze miałem ochotę tam pojechać.

Fizjonomia starca ożywiła się, zmarszczki jego drgnęły, zdawał się silnie wzruszony.

— Gdybym ja tam z panem pojechał, nie straciłby pan swego czasu — rzekł.

— Nie mówcie mu o Wenecji — rzekł do mnie skrzypek — bo nasz doża<sup>13</sup> zacznie swoje sztuki, a trzeba wiedzieć, że jaśnie książę ma już dwie butelki w żondolku<sup>14</sup>!

— No jazda, ojciec Canard — rzekł flecista.

Wszyscy trzej zaczęli grać, ale przez czas trwania czterech kontredansów Wenecjanin węszył mnie niejako, odgadywał moje niezwykle zainteresowanie jego osobą. Fizjonomia jego straciła martwy wyraz smutku; jakaś nadzieja rozjaśniła wszystkie jego rysy, wśliźnęła się niby błękitny płomień w jego zmarszczki. Uśmiechnął się i wytarł sobie czoło, to harde i straszliwe czoło; wreszcie stał się wesoły, jak człowiek, którego podłechtano<sup>15</sup> w tkliwy punkt.

— Ile macie lat? — spytałem.

— Osiemdziesiąt dwa!

— Od jak dawna jesteście ślepi?

— Będzie niedługo pięćdziesiąt lat — odparł z akcentem świadczącym, że żale jego tyczyły się nie tylko straty wzroku, ale jakiejś wielkiej władzy, z której go wyzuto.

— Czemu nazywają was dożą? — spytałem.

— Et, żarty — rzekł. — Jestem patrycjuszem weneckim i byłbym został dożą jak każdy inny.

— Jakże się pan nazywa?

— Tutaj: ojciec Canet. Nigdy mego nazwiska nie umieli inaczej wpisać w rejestry; ale po włosku to „Marco Facino Cane, książę Varese”.

<sup>10</sup>*kiks* (z niem.) — fałszywa nuta w śpiewie lub grze na instrumencie muzycznym. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*kontredans* (fr. *contredance*) — figurowy taniec towarzyski popularny we Francji pod koniec XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*kantyna* — sklepik lub bufet dla pracowników. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*doża* — naczelnik państwa w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*żondolek* (gw.) — żołądek. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*techtac* — laskotać. [przypis edytorski]

— Jak to, pan pochodzi od owego sławnego kondotiera<sup>16</sup> Facino Cane<sup>17</sup>, którego lupy przeszły na książąt Mediolanu?

— *E vero*<sup>18</sup> — odparł. — W owym czasie, aby nie być zabitym przez Viscontich, syn Canego schronił się do Wenecji i wpisał się do *Złotej księgi*<sup>19</sup>. Ale nie ma już Cane, tak samo jak nie ma Księgi! — Uczynił gest przerażający swym wygasłym patriotyzmem i wstrętem do rzeczy ziemskich.

— Ale skoro pan był senatorem weneckim, musiał pan być bogaty; w jaki sposób mógł pan postradać majątek?

Na to pytanie podniósł głowę, jak gdyby po to, aby mi się przypatrzeć ruchem istotnie tragicznym, i odpowiedział:

— Nieszczęścia!

Nie myślał już o picciu, odsunął szklankę wina, którą mu w tej chwili podawał stary flecista, po czym spuścił głowę. Te szczegóły mogły jedynie podsycić mą ciekawość. W czasie kontredansa, którego odegrały te trzy automaty, patrzyłem na starego weneckiego szlachcica z uczuciami, jakie pożerają dwudziestoletniego młodzieńca. Widziałem Wenecję i Adriatyk, widziałem ją w ruinach na tej zrujnowanej twarzy. Przechadzałem się po tym mieście, tak drogim jego mieszkańcom; wędrowałem od Rialto<sup>20</sup> do Wielkiego Kanału<sup>21</sup>, od *riva Schiavoni*<sup>22</sup> do Lido<sup>23</sup>, wracałem do katedry tak oryginalnej i wspaniałej, patrzyłem na okna *Casa d'Oro*<sup>24</sup>, z których każde ma inny ornament; oglądałem stare pałace tak bogate w marmury; słowem wszystkie te cudzy, z którymi uczony sympatyzuje tym więcej, iż barwi je wedle ochoty i nie depoetyzuje swoich marzeń obrazem rzeczywistości. Odtwarzałem sobie bieg życia tego potomka największego z kondotierów, szukając w nim śladów jego nieszczęść oraz przyczyn tego głębokiego fizycznego i moralnego upadku, który jeszcze dodawał piękności iskrom dumy i szlachetności zbudzonym w tej chwili. Myśli nasze spotykały się z pewnością, sądzę bowiem, że ślepotą czyni wrażliwość ducha o wiele czulszą, nie pozwalając uwadze rozpraszać się na zewnętrzne przedmioty. Niedługo czekałem na dowód naszej wzajemnej sympatii. Facino Cane przestał grać, wstał, podszedł do mnie i rzekł: „Wyjdźmy!” Słowo to podziało na mnie jak tusz<sup>25</sup> elektryczny. Podałem mu ramię i wyszliśmy.

Kiedyśmy się znaleźli na ulicy, rzekł:

— Czy chce mnie pan zabrać z sobą do Wenecji, zawieść mnie tam, czy chce mi pan zawierzyć? Będzie pan bogatszy niż dziesięciu najbogatszych bankierów Amsterdamu lub Londynu, bogatszy niż Rotszyldy<sup>26</sup>, bogaty jak Krezus<sup>27</sup>.

Pomyślałem, że to wariat; ale była w jego głosie potęga, której się poddałem. Dałem się prowadzić; zawiódł mnie do fos Bastylli, tak jak gdyby miał oczy. Usiadł na kamieniu w miejscu bardzo samotnym, gdzie później zbudowano most, którym kanał Saint-Martin łączy się z Sekwaną. Usiadłem na drugim kamieniu naprzeciw tego starca, którego białe

Miasto, Marzenie

<sup>16</sup>kondotier — w XIV–XVI w. we Włoszech dowódca oddziałów najemnych w służbie miast lub dworów książęcych. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Facino Cane, właśc. Bonifacio Cane (1360–1412) — kondotier włoski słynący z okrucieństwa. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*e vero* (wł.) — to prawda. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Złota księga (wł. *Libro d'Oro*) — prowadzony od 1325 oficjalny rejestr szlachty Republiki Weneckiej, spalony po wkroczeniu fr. wojsk rewolucyjnych w ramach zaprowadzania ustroju demokratycznego (1797). [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Rialto, Most Rialto (wł. *Monte di Rialto*) — najstarszy i do 1854 jedyny z mostów spinających brzegi weneckiego Wielkiego Kanału. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Wielki Kanał (wł. *Canal Grande*) — jeden z głównych kanałów Wenecji, o dł. ok. 4 km i szer. 30–60 m, przepływając przez środek Wenecji dzieli ją na dwie części; wzdłuż jego brzegów powstały w XIII–XVIII w. liczne, znane budowle. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*riva degli Schiavoni* (wł.: Nabrzeże Słowiańskie) — nabrzeże oraz ulica o tej samej nazwie położone przy Kanale św. Marka w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Lido — długa piaszczysta wyspa oddzielająca Wenecję od morza. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Casa d'Oro* (wł.: Złoty Dom) — jeden z najstarszych pałaców Wenecji, położony nad Wielkim Kanałem; nazwany od złociń, będących częścią polichromii zdobiącej niegdyś fasadę budynku. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>tusz (tu daw.) — prysznic. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Rotszyldowie, Rotschildowie — bogata i wpływowa rodzina niemieckich Żydów, od XIX w. nazwisko to jest kojarzone z bogactwem; rodzinną firmę zapoczątkował kantor Mayera Amschela Rothschilda założony w latach 60. XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Krezus (595–546 p.n.e) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa. Jego imię jest obecnie synonimem bogacza. [przypis edytorski]

włosy błyszczą jak srebrne nici w blasku księżyca. Cisza, którą zaledwie mącił dochodzący nas gwar bulwarów, czysta noc, wszystko czyniło z tej sceny coś istotnie fantastycznego.

— Mówi pan młodemu człowiekowi o milionach i sądzi, że wahałby się znieść tysiąc mąk, aby je zdobyć? Czy pan sobie nie żartuje ze mnie?

— Niech umrę bez spowiedzi — rzekł gwałtownie — jeżeli to, co panu powiem, nie jest prawdą. Miałem dwadzieścia lat, jak pan dzisiaj; byłem bogaty, byłem piękny, szlachetnie urodzony i zacząłem od pierwszego z szaleństw — od miłości. Kochałem tak, jak już nie umięją kochać, do tego stopnia, aby się ukryć w kufrze i narażać się, że mnie tam zaszytują, nie dostawszy w zamian nic poza obietnicą pocałunku. Umrzeć dla niej zdawało mi się życiem. W roku 1760 durzyłem się<sup>28</sup> w niejakiej Venderamini, kobiecie osiemnastoletniej, żonie niejakiego Sagredo, jednego z najbogatszych senatorów, kochającego swą żonę do szaleństwa. Moja kochanka i ja byliśmy niewinni jak dwa cherubiny, kiedy *sposo*<sup>29</sup> nas zastał rozprawiających o miłości; byłem bez broni, chybił mnie, skoczyłem nań, udusiłem go własnymi rękami, skręcając mu kark jak kurczakowi. Chciałem uciec z Bianką, nie chciała iść za mną. Oto kobiety! Uciekłem sam, skazano mnie, dobra wzięto w sekwestr<sup>30</sup> na rzecz spadkobierców, ale zabrałem moje diamenty, pięć zwiniętych obrazów Tycjana i wszystko moje złoto. Udałem się do Mediolanu, gdzie mnie niepokojono: moja sprawa nie obchodziła rządu.

— Mała uwaga, zanim powiem resztę — rzekł po pauzie. — Czy zachcenia kobiece wpływają na dziecko, podczas gdy matka nosi je w łonie lub w chwili poczęcia, nie wiem; ale to fakt, że moja matka miała pasję do złota w czasie swojej ciąży. Ja mam na punkcie złota manię, której zadowolenie jest tak niezbędne do mego życia, że w żadnej doli nie byłem nigdy bez złota przy sobie; mam istny szal złota; kiedy byłem młody, zawsze nosiłem klejnoty i zawsze miałem przy sobie dwieście lub trzysta dukatów.

To mówiąc, wydobyl z kieszeni dwa dukaty i pokazał mi je.

— Czuję złoto. Mimo że ślepy, zatrzymuję się przed sklepami jubilerów. Ta namiętność mnie zgubiła; zostałem graczem, aby się bawić złotem. Nie byłem oszustem, padłem ofiarą oszustów, zrujnowałem się. Kiedy nie miałem już nic, ogarnęła mnie żądza zobaczenia Bianki; wróciłem potajemnie do Wenecji, byłem szczęśliwy pół roku, ukryty przez nią, żywiony przez nią. Byłbym z rozkoszą tak zakończył życie. Do Bianki zalecał się prowedytor<sup>31</sup>; odgadł rywala, we Włoszech czuje się takie rzeczy: szpiegował nas, zeszedł<sup>32</sup> nas w łóżku, podły! Domyśla się pan, jak gwałtowna była walka: nie zabiłem go, zraniłem go ciężko. Ta przygoda zniszczyła moje szczęście. Od tego dnia nigdy nie ujrzałem już Bianki. Zaznałem wszystkich rozkoszy, żyłem na dworze Ludwika XV<sup>33</sup> wśród najślawniejszych kobiet, nigdzie nie odnalazłem uroków, wdzięku, czułości mojej drogiej Wenecjanki. Prowedytor miał ludzi, wezwał ich, otoczono pałac, wdarto się do środka; bronilem się, aby umrzeć w oczach Bianki, która pomagała mi zabić prowedytora. Niegdyś ta kobieta nie chciała uciec ze mną; ale po sześciu miesiącach szczęścia pragnęła podzielić moją śmierć i otrzymała kilka ciosów. Schwycono mnie w wielki płaszcz, który zarzucono mi na głowę, zawinięto mnie, ciśnięto w gondolę i zawieziono do lochu w podziemiach. Miałem dwadzieścia dwa lata, trzymałem tak mocno ułamek mojej szpady, że aby go wydrzeć, trzeba by mi było odciąć rękę! Szczególnym trafem, lub raczej natchniony myślą samozachowawczą, ukryłem ten kawałek żelaza w kąciku, jak gdyby mógł mi się przydać. Leczone mnie. Żadna z ran nie była śmiertelna. W dwudziestym drugim roku człowiek wygrzebie się ze wszystkiego. Miałem umrzeć ścięty, udałem chorobę, aby zyskać na czasie. Sądziłem, że znajduję się w kaźni sąsiadującej z kanałem; zamiarem moim było wymknąć się, przebijając mur i przepływając kanał wpław na ryzyko utonięcia. Oto na jakiej kombinacji wspierała się moja nadzieja. Za każdym razem, kiedy dozorca przynosił mi jeść, czytałem wskazówki wypisane na ścianie: „do pałacu”, „do kanału”, „do podziemi”. Wyroiłem w końcu plan, którego sens niewiele

<sup>28</sup>durzyć się — kochać się w kimś. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>sposo (wł.) — mąż. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>sekwestr (daw.) — konfiskata majątku. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>prowedytor (wł. *provveditore*) — zarządca regionu Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>zeszedł kogoś (daw.) — najść kogoś, odwiedzić nieoczekiwanie; tu forma 3. os. lp. przeszł.: zeszedł nas. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Ludwik XV (1710–1774) — król Francji z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

Młodość, Miłość  
romantyczna, Zbrodnia

Chciwość

Ucieczka

mnie obchodził, ale który da się wytłumaczyć obecnym stanem pałacu książęcego, wciąż nieukończonemu. Z instynktem zbudzonym żądzą odzyskania wolności, macając końcem palca powierzchnię kamienia, zdołałem wreszcie odczytać arabski napis, którym autor tej pracy uprzedzał swoich następców, że ochwiał dwa kamienie tuż przy ziemi i wyłobiał jedenaście stóp<sup>34</sup> korytarza. Aby prowadzić dalej jego dzieło, trzeba było wysypywać na podłogę kaźni ułamki kamienia i cementu wykruszone przy drążeniu. Gdyby nawet stróżów lub inkwizytorów nie uspokajała budowa gmachu, który wymagał jedynie dozoru z zewnątrz, położenie lochu, do którego schodziło się po kilku stopniach, pozwalało podnosić stopniowo grunt tak, aby się strażnicy nie spostrzegli. Olbrzymia ta praca była daremna, przynajmniej dla tego, który ją rozpoczął; niedokończenie jej bowiem świadczyło o śmierci nieznanego. Aby jego poświęcenie nie poszło na marne, trzeba było, aby jeniec umiał po arabsku, a przypadkowo studiowałem języki wschodnie w klasztorze armeńskim. Kilka słów wypisanych za kamieniem mówiło o losie tego nieszczęśnika; zginął jako ofiara swych olbrzymich bogactw, które obudziły pożądliwość Wenecji i które też zagarnęła.

Trzeba mi było miesiąca, aby osiągnąć jakiś rezultat. Podczas gdy pracowałem i w chwilach, gdy miazdżyło mnie zmęczenie, słyszałem dźwięk złota, widziałem złoto przed sobą, olśniewały mnie diamenty! Och, czekaj pan. Jednej nocy stępiona stal trafiła na drzewo. Zaostrzyłem koniec szpady i zrobiłem dziurę w tym drzewie. Aby móc pracować, pełzałem jak wąż na brzuchu, rozbierałem się do naga, aby się ryc jak kret, wysuwając ręce naprzód. Na dwie doby przed dniem, w którym miałem stanąć przed moimi sędziami, w nocy spróbowałem uczynić ostatni wysiłek; przebiłem drzewo, żelazo nie napotkało nic poza nim. Niech pan osądzi moje zdumienie, kiedy przyłożyłem oczy do dziury! Znajdowałem się we wnętrzu piwnicy, gdzie słabe światło pozwalało mi dostrzec kupę złota. Doża i jeden z Rady Dziesięciu<sup>35</sup> byli w piwnicy; słyszałem ich głosy, rozmowa ich pouczyła mnie, że tutaj znajduje się tajny skarb Republiki, dary dożów oraz rezerwy lupu, nazwanego „groszem Wenecji” i chowanego z wojennych zdobyczy. Byłem ocalony! Kiedy przybył dozorca, namówiłem go, aby mi pomógł w ucieczce i aby uciekł ze mną, unosząc wszystko, co zdołamy zabrać. Nie było się co wahać; zgodził się. Statek odpływał właśnie na Wschód, obmyśliśmy wszystko; Bianka zgodziła się na plan, który dyktowałem memu współpracownikowi.

W ciągu jednej nocy rozszerzyliśmy dziurę i weszliśmy do tajemnego skarbcza Wenecji. Co za noc! Widziałem cztery beczki pełne złota. W sąsiedniej sali srebro leżało w dwóch kupach, między którymi była przestrzeń wolna na tyle, aby móc minąć pokój, gdzie pod ścianą znajdował się zwal monet na pięć stóp wysoki. Myślałem, że dozorca oszaleje; śpiewał, skakał, śmiał się, tarzał się w złocie; zagroziłem mu, że go uduszę, jeśli będzie tracił czas lub narobi hałasu. W radości swojej nie dojrzał zrazu stołu, gdzie znajdowały się diamenty. Zabrałem się do nich dość zręcznie, aby napełnić kurtkę i kieszenie u spodni. Mój Boże! nie wziąłem ani trzeciej części. Pod tym stołem znajdowały się sztaby złota. Namówiłem mego towarzysza, aby napełnił złotem tyle worków, ile zdołamy unieść, zwracając mu uwagę, że to jest jedyny sposób, aby nas nie odkryto na obczyźnie. „Perły, diamenty, klejnoty zdradziłyby nas” — rzekłem. Mimo całej naszej chciwości, nie mogliśmy wziąć więcej niż dwa tysiące funtów<sup>36</sup> złota, co wymagało sześciu wypraw z więzienia do gondoli. Strażnika u bramy przekupiliśmy dziesięcioma funtami złota. Co się tyczy dwóch gondolierów, ci sądzili, że pracują w służbie Republiki. O świcie odjechaliśmy. Skorośmy się znaleźli na pełnym morzu, kiedy sobie przypomniałem tę noc, kiedy sobie uprzytomniłem moje przeżycia i ogarnąłem myślą ten olbrzymi skarb, w którym wedle mego szacunku zostawiałem trzydzieści milionów w srebrze, dwadzieścia milionów w złocie i nie wiadomo ile milionów w diamentach, perłach i rubinach, uczułem jakiś dreszcz szaleństwa. Dostałem gorączki złota. Kazaliśmy się wysadzić na ląd w Smyrnie i puściliśmy się natychmiast do Francji. Kiedyśmy wsiedali na statek francuski, Bóg mi wyświadczył tę łaskę, że mnie uwolnił od mego współpracownika. W tej chwili nie myślałem o całej doniosłości tego zarządzenia, z którego cieszyłem się wielce. Byliśmy tak wyczerpa-

Bogactwo

<sup>34</sup>stopa — daw. miara długości, licząca ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Rada Dziesięciu — urząd Republiki Weneckiej odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa i tajną dyplomację, często działający potajemnie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>funt — daw. jednostka wagi, powszechna w Europie do XIX w., równa 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

ni nerwowo, żeśmy trwali w osłupieniu, nic nie mówiąc do siebie, czekając z wybuchami naszej radości, aż będziemy zupełnie bezpieczni. Nic dziwnego, że temu hultajowi zawróciło się w głowie. Zobacz pan, jak mnie Bóg skarał. Uczulem się spokojny dopiero wówczas, gdy sprzedałem dwie trzecie moich diamentów w Londynie i w Amsterdamie oraz zmieniłem złoty piach na obligi<sup>37</sup> handlowe. Pięć lat ukrywałem się w Madrycie; następnie w r. 1770 przybyłem do Paryża pod hiszpańskim nazwiskiem i żyłem tam jak król. Bianka nie żyła. W pełni moich rozkoszy, kiedy się cieszyłem majątkiem sześciu milionów, nawiedziła mnie ślepotą. Jestem pewny, że ta ślepotą była następstwem mojej karni, mojego rycia się w kamieniu, o ile w ogóle mój dar widzenia złota nie mieścił w sobie wybujałości wzroku, która mnie skazywała na jego utratę. W tej chwili kochałem pewną kobietę, z którą zamierzałem połączyć mój los. Zdradziłem jej tajemnicę mego nazwiska; rodzina jej była bardzo potężna, spodziewałem się wszystkiego po łasce, jaką mnie darzył Ludwik XV. Położyłem zaufanie w tej kobiecie, która była przyjaciółką pani du Barry<sup>38</sup>; poradziła mi, abym zasięgnął rady sławnego okulisty z Londynu; ale po kilku miesiącach pobytu w tym mieście kobieta ta opuściła mnie w Hyde-Parku, obłupiła mnie z całego majątku, nie zostawiając mi żadnych środków. Zmuszony kryć nazwisko, które wydawało mi się na pomstę Wenecji, nie mogłem wzywać nikogo do pomocy, lękałem się Wenecji. Bezsilność tę wyzyskali szpiegowie<sup>39</sup>, których ta kobieta nasadziła<sup>40</sup> na mnie. Oszczędzę panu opowieści przygód godnych Gil Blasa<sup>41</sup>. Przyszła wasza rewolucja. Zmuszono mnie do wstąpienia do Instytutu dla Ociemniałych, gdzie mnie wtrąciła ta kobieta, przetrzymawszy mnie wprzód dwa lata w Bicetre jako wariata. Nie mogłem jej zabić; nie miałem oczu, byłem za biedny, aby kupić sobie ramię. Gdybym, zanim straciłem Benedetta Carpi, mego dozorcę, wypytał się go o położenie owego lochu, byłbym mógł odszukać skarbiec i wrócić do Wenecji, kiedy Napoleon zniweczył republikę. Jednak mimo mej ślepoty, jedźmy do Wenecji! Odnajdę bramę więzienia, ujrzę złoto przez mury, wyczuję je pod wodą, w której jest zagrzebane, wobec wypadków bowiem, które obaliły Wenecję, tajemnica tego skarbu musiała umrzeć z Venderaminem, bratem Bianki, dożą, który — miałem tę nadzieję — byłby mnie pojednał z Radą Dziesięciu. Przesłałem memoriał<sup>42</sup> Pierwszemu Konsulowi<sup>43</sup>, proponowałem podział cesarzowi austriackiemu, wszyscy potraktowali mnie jak wariata! Chodź pan, jedźmy do Wenecji, jedźmy jako żebracy, wrócimy milionerami; odkupimy moje dobra i będziesz moim spadkobiercą, będziesz księciem Varese.

Chciwość

Oszołomiony tym zwierzeniem, które w mojej wyobraźni przybierało rozmiary poematu, na widok tej siwej głowy, w obliczu czarnej wody w fosach Bastylji — wody śpiącej jak w kanałach Wenecji — nie odpowiedziałem. Facino Cane uznał zapewne, że osądziłem go tak jak inni, ze wzgardliwą litością; uczynił gest, który wyraził całą filozofię rozpaczki. To opowiadanie przeniosło go może w szczęsne<sup>44</sup> dni, do Wenecji; chwycił klarnet i zagrał melancholijnie piosnkę wenecką, barkarolę, w której odnalazł swój dawny talent, talent zakochanego patrycjusza. To było coś jak *Super flumina Babylonis*<sup>45</sup>. Oczy moje napełniły się łzami. Jeżeli jakiś zapóźniony przechodzień mijał bulwar Bourdon, bez wątpienia zatrzymał się, by posłuchać tej ostatniej modlitwy wygnańca, ostatniego żalu straconego nazwiska, z którym łączyło się wspomnienie Bianki. Ale złoto wzięło niebawem górę i złowroga namiętność zgasła ten błysk młodości.

<sup>37</sup>oblig (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>pani du Barry — właśc. Jeanne Becu, Comtesse du Barry (1743–1793), fr. kurtyzana, metresa (oficjalna kochanka) króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>szpiegowie (daw.) — dziś popr. M. Im: szpiedzy. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>nasadzić (daw.) — nasłać. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Gil Blas, Idzi Blas — bohater powieści Alaina Lesage'a *Przypadki Idziego Blasa* (oryg. *Histoire de Gil Blas de Santillane*) wydanej w I poł. XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>memoriał — oficjalne pismo do organów władzy, zawierające uzasadnienie prośby lub wyjaśnienie sprawy. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Pierwszy Konsul — w latach 1799–1804 najwyższy urząd we Francji, sprawowany przez Napoleona Bonapartego. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>szczęsny (daw.) — szczęśliwy. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Super flumina Babylonis* (łac.) — „Nad rzekami Babilonu”, pierwsze słowa łac. wersji biblijnego *Psalmu 137*, lamentu Żydów przebywających na wygnaniu w tzw. niewoli babilońskiej, wyrażającego żal za utraconą Jerozolimę; także tytuł kilku utworów muzycznych wykorzystujących ten psalm. [przypis edytorski]



— Ten skarbiec — rzekł — widzę ciągle, na jawie i we śnie; krążę w nim, diamenty błyszczą, nie jestem tak ślepy, jak pan sądzi: złoto i diamenty rozświetlają moją noc, noc ostatniego Facino Cane, bo mój tytuł przechodzi na Memmich. Mój Boże! Kara mordercy zaczęła się bardzo wcześnie! *Ave Maria*<sup>46</sup>...

Odmówił kilka modlitw, których nie słyszałem.

— Pojedziemy do Wenecji! — zawołałem, kiedy wstał.

— Znalazłem więc człowieka! — wykrzyknął z płonąca twarzą.

Odprowadziłem go pod ramię; uściśnął mi rękę u bramy przytułku, w chwili gdy kilka osób z wesela wracało, śpiewając na całe gardło.

— Jedziemy jutro? — rzekł starzec.

— Skoro tylko będziemy mieli trochę pieniędzy.

— Ależ możemy iść pieszo, będę zebrał jałmużny... Jestem silny, a człowiek jest młody, kiedy widzi złoto przed sobą.

Facino Cane umarł owej zimy, przechorowawszy dwa miesiące. Biedny człowiek miał katar płuc.

*Paryż, marzec 1836*

---

<sup>46</sup>*Ave Maria* (łac.) — „Zdrowaś Mario”, początkowe słowa modlitwy *Pozdrowienie anielskie*. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-facino-cane>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka*, Kuratela ; Facino Cane ; Sarrasine ; Piotr Grasson ; Z. Marcas ; Granatka ; Poronienie, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct S. A., Warszawa [1931].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0061-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).